

Na zawsze Cisy...

Refleksje bioregionalne

Przez kilka numerów DŻ artykuły poświęcone bioregionalizmowi były przeze mnie świadomie pomijane podczas lektury. Podchodziłem do nich z pewnym dystansem – uważałem, że jako przyrodnikowi nie sposób mi identyfikować się z resztkami przyrody, jakie zostały w moim regionie, mając jednocześnie możliwość pobytu w takich miejscach, jak Gorce, Bieszczady czy Puszcza Białowieska. Czy te resztki mogłyby konkurować z grubymi bieszczadzskimi bukami lub ogromnymi jodłami z Gorców?



W gruncie rzeczy, nie zastanawiałem się zbyt, czym jest ów bioregionalizm. Pozostawiałem go tym, których interesowały społeczności wiejskie, tradycje, obrzędy, kultura – to właśnie z tym kojarzyłem to pojęcie. Uważałem, że nie mam się z czym utożsamiać, skoro mieszkam w mieście. Zresztą nie wsi, pól czy zagajników szukałem, lecz lasu w najpierwotniejszych jego przejawach. Miejsc niedostępnych, najdzikszych, na jakich przetrwanie w dzisiejszych czasach pozwalałaby jeszcze ludzka zaborczość. Gdy jako student osiadłem w Krakowie, jeszcze łatwiej było mi realizować różnego rodzaju eskapady w góry.

Na pewnym etapie moich wycieczek zdałem sobie jednak sprawę z tego, że będąc z dala od domu, zawsze znajdowałem chwilę, aby powracać myślami do rodzinnych stron. Gdy podczas studiów większość czasu spędzałem w Krakowie, myśli te nachodziły mnie coraz częściej. Powoli zaczęło do mnie docierać, że wbrew temu co sądziłem, bioregionalizm dotyczy także mojej osoby. Musiałem w końcu przyznać: bezsprzecznie jakaś siła ciągnęła i ciągnie mnie do dziś w moje strony, do sąsiadującego z Wałbrzychem masywu Trójgarb, a przede wszystkim do Książańskiego Parku Krajobrazowego. Nie bardzo wiedziałem, dlaczego tak się dzieje, skoro będąc w Krakowie miałem blisko do wielu innych, o wiele bardziej atrakcyjnych przyrodniczo miejsc, a niczego nie cenię sobie bardziej niż starego lasu. Okazało się jednak, że ilekroć sięgałem pamięcią wstecz, park zawsze tam był. Zawsze przewijał się gdzieś w tych wspomnieniach, zawsze brał udział w jakichś ważniejszych dla mnie wydarzeniach. Zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, czym on dla mnie jest.

Najpierw rowerowe wycieczki z kolegami, później już samotnie. Nadałem mu swoją nazwę – „Cisy”, od nazwy ruin znajdującego się tam zamku. Zresztą wielu tak na niego mówi, pewnie dlatego, że wizyta w parku z reguły kończy się pobytem w tychże ruinach. Poza tym cisów jest w nim naprawdę wiele. To właśnie tu podałem rękę Przyrodzie, zacząłem myśleć i odczuwać więcej. Spotkanie z lochą i jej pasiakami, wieczorne wołanie sowy, pierwsze noce w lesie, trochę straszne, bo nowe, do dziś niezapomniane. To wszystko odbyło się tutaj. Ulubione miejsca – kryjówki. Przed czym? Przed wszystkim, co znałem i czego nie akceptowałem.



Jak wczoraj, pamiętam pierwsze spotkanie ze zwierzętami, których obecność szczególnie sobie cenię. Stało się to, gdy pewnego ranka postanowiłem zamiast do szkoły udać się na Cisy. Przechodząc skrajem lasu, zobaczyłem daleko na polanie, na tle jasnej, uschniętej trawy jakieś ciemne „stołki” (pamiętam dokładnie, że tak właśnie pomyślałem). Stały regularnie poustawiane w liczbie około trzydziestu. Ruszyłem w ich stronę chcąc się przekonać, z czym mam do czynienia, aż zorientowałem się, że te „stołki” są żywe, a na dodatek mają głowy, z których większość zwrócona jest w moją stronę. Nie rozpoznawałem w tych sylwetkach saren, zresztą nie spotkałem nigdy saren przebywających razem w tak dużej liczbie. Nie chcąc ich spłoszyć, postanowiłem podejść od strony niewielkiego wzniesienia, u podnóża którego stało stado. Zawróciłem, zniknąłem im z oczu i zgodnie z planem, na około pobiegłem na górkę. Gdy zdyszany na jej szczycie spojrzałem w dół – oniemiałem z zachwytu. Krępe, wyglądające na silne i wytrzymałe, samce z grubymi, wykręconymi dołem ku przodowi rogami i z jasnymi plamami na bokach ciała. Domyśliłem się w końcu, że to były muflony. Chwilę później usłyszałem ostrzegawczy świst i wszystkie jak jeden mąż zerwały się do ucieczki. Jeszcze słyszę głuchy tupot racic i szum trawy ocierającej się o ich nogi. Od tamtej chwili, gdy wracam, zawsze staram się z nimi spotkać. Zakochałem się w muflonach...

Teraz widzę, że to tutaj szukałem swoich pierwszych najdzikszych miejsc, a przede wszystkim, iż tu właśnie zrodziła się we mnie potrzeba ich poszukiwania. W tym parku się wychowałem, a raczej to ten park mnie wychował. Tu zachłysnąłem się Naturą. Długo jednak nie mogłem pojąć, jak książańskie lasy, tak zdewastowane zapędami tutejszych leśników, rzekłbym nawet, że wołające o pomstę do nieba, mogą oddziaływać na mnie z taką siłą. Tym większą, im dłużej mnie w nich nie ma i im więcej innych miejsc odwiedzę. Bieszczady to wspaniałe tereny, one też wiele dla mnie znaczą, lecz teraz rozumiem, że to nie kwestia rozmiarów drzew, rozległości lasu czy ilości zwierząt. To coś zupełnie innego, pozamaterialnego, nieprzeliczalnego. Nie byłbym też pewien, czy można nazwać to korzeniami, bowiem o tych można powiedzieć, że się je zapuszcza, a nie można się po raz kolejny wychować w jakimś miejscu, skoro jest się już dorosłym. To raczej energia, niewidzialna nitka, a w moim przypadku też wdzięczność. Za to, że mogłem tu przebywać, kiedy najbardziej tego potrzebowałem, za ciepłe przyjęcie i gościnność, za wskazanie drogi, za to, że wchodząc tu zamykałem za sobą nieprzekraczalne dla nikogo drzwi, za uzmysłowienie mi, kim jestem, gdy wszystko wokół sugerowało co innego.



Muflon. Fot. Maciej Narczyński

Cisy uratowały mnie przed duchowym kalectwem, jakie często spotyka ludzi z miast. Znam tu już każdy kamień, wiem, gdzie chadzają muflony, gdzie mieszka puszczyk, gdzie jest nora borsuka. Cisy znają mnie jeszcze lepiej, za dużo czasu w nich spędziłem, za dużo o nich myślałem i za dużo będąc w nich myślałem, aby mogło być inaczej. Zbyt wiele razy zdarłem tam kolana, zbyt długo oddychałem ich powietrzem, zbyt dużo zjadłem grzybów i jagód zrodzonych na tej ziemi, bym nie czuł się częścią tego miejsca. Ten las był swego czasu moim placem zabaw, a kiedy podrosłem, stał się jakby cichym pomieszczeniem, gdzie w spokoju analizowałem otaczający mnie świat - zarówno sam Książański Park, jak i jego otoczenie, czyli Wałbrzych i okolice. Była to dla mnie swoista wyspa bezludna, na której znalazłem się jako rozbitek, lecz nie wbrew swej woli. Kiedy będąc w Krakowie myślę o powrocie do domu, nieodłącznie kojarzę go z wizytą na Cisach. Jeśli ktoś pyta mnie skąd jestem, odpowiadam „z Wałbrzycha” - nie powiem przecież, że jestem z Cisów, chociaż wolałbym tak właśnie oznajmić. Byłoby to bardziej prawdziwe. Z Wałbrzychem nic mnie nie łączy. Nie, znowu się mylę. Wałbrzych ukazał mi znakomity kontrast w obrazie Natury i cywilizacji. Z jednej strony kompletnie chora pogoń za tzw. sukcesem, brud, spaliny, hałas, idiotyczne wymagania w stosunku do mojej osoby, a z drugiej cisza i spokój, inny świat, bogactwo życia, w które powoli zacząłem wkraczać poznając rośliny i zwierzęta. Wybrałem las, chociaż nie wiem, czy nazwać to wyborem, to stało się samo, był to oczywisty krok w dobrą stronę. W każdym razie to miasto też miało w tym swój udział. Nie mogę jednak powiedzieć, że lubię Wałbrzych za to, że jest Wałbrzychem.

Ostatnio kolega powiedział, że smutno mu było, kiedy łąki, na których bawił się będąc dzieckiem, zostały zamienione na plac budowlany pod garaże. Coś jest w tym bioregionalizmie, to coś bardzo

głębokiego. Ciężko to opisać, bo o uczuciach trudno jest mówić. Jest to więź szalenie silna, a jednocześnie – co dziwne – człowiek w pełni zdaje sobie z niej sprawę dopiero wówczas, gdy oddali się od tego „swojego miejsca na Ziemi”. I nieważne, czy to nazwać bioregionalizmem, czy jakimś innym „-izmem”. To uczucie istnieje. Gdzie bym się nie zapędził, jedno jest pewne: zawsze znajdzie się chwila, by pomyśleć o Cisach. Dobrze jest mieć takie miejsce. Teraz myślę, że każdy je ma. Czy to staw za domem, czy potężny las, czy łąka, czy nawet miejsce, w którym przyroda istnieje w postaci szczątkowej. Nie każdy o nim wie, ale każdy je ma.

Maciej Narczyński